

K I H - a

Kurier Instytutu Historii nr 4, marzec, 2005

Studenckie Koło Naukowe Historyków ma zaszczyt przedstawić kolejny numer naszego (czaso) pisma. Tym (nie mylić ze słynnym aktorem) razem chwalimy się powstaniem STRONY INTERNETOWEJ.

Polecamy też autoreklamę Koła Naukowego – czyli kilka powodów dlaczego warto się z nami zadawać.

Dla dociekliwych trzecia część „genealogii”. Dla rozczarowanych „zmagania z dziekanatem”.

No i oczywiście nie moglibyśmy obyć się bez kolejnej porcji łódzkiej kiszki. Na dodatek humor historyczny.



Redakcja

Autoreklama - czyli rzecz zupełnie nie o samochodach

Studenckie Koło Naukowe Historyków UŁ w ostatnich dniach dorobiło się własnej strony internetowej. Jednym z elementów projektowanej strony jest podstrona „zapisy”. Otóż, podczas wypełniania tej rubryki (kto odwiedził stronę wie, jak ona wygląda – ze swej strony zapewniamy, że jest to stan wybitnie tymczasowy) pojawił się problem: po co i czy w ogóle warto zapisać się do koła?

Oczywiście (bo na tym polega przecież istota reklamy) odpowiedź jest jak najbardziej twierdząca: do koła naukowego warto się zapisać. Powodów ku temu jest wiele, wymienię tutaj kilka:

Po pierwsze: Koło daje szansę nie tylko na bierne przyswajanie i odtwarzanie faktów historycznych na egzaminach i kursach ale też na rozwijanie własnych zainteresowań historycznych i prowadzenie badań naukowych (oczywiście w skromnym studenckim zakresie).

Po drugie: Koło pozwala na konfrontacje własnych badań i dociekań studenckich nie tylko ze studentami rodzimej uczelni, ale także innych ośrodków akademickich.

Po trzecie (co pośrednio wynika z drugiego): działalność w kole naukowym to okazja do wielu niezapomnianych (nie tylko od strony naukowej) wspólnych wyjazdów.

Po czwarte: działalność w kole dostarcza okazji do spotkań z wieloma ciekawymi ludźmi (mniej lub bardziej znanymi) – zarówno ze świata historii jak i świata „zewnątrznego”.

Po piąte: działalność w kole naukowym pozwala na lepsze („od kuchni”) poznanie własnej uczelni i wykładowców.

Po szóste: każde zebranie koła to niezapomniane przeżycie ;).

Po siódme: Koło naukowe stwarza możliwość publikacji własnych dokonań naukowych (na łamach Studenckiego Biuletynu Historycznego), przemyśleń (mniej lub bardziej filozoficznych – na łamach KIH-y) oraz dociekań regionalnych (na stronie internetowej – „dział regionalny”).

To tylko kilka powodów, dla których warto zapisać się do koła naukowego. Zapewne każdy z członków koła potrafiłby dorzucić do przedstawionej listy jeszcze garść własnych pomysłów – i jest to jeszcze jeden atut koła: jego różnorodność, wielość pomysłów i osobowości.

Dlatego też wszystkich, którzy nie boją się „pracy naukowej z odrobiną szaleństwa” zapraszamy do współpracy.

Kontakt: zebrania koła odbywają się we wtorki, o godzinie 15:30 w sali nr 14.

Strona koła: www.sknh.uni.lodz.pl. Do dyspozycji są także, dostępne na łamach KIH-y, adresy internetowe członków koła.

Zbigniew Głab (semp_ja@o2.pl)

NA NASZYCH OCZACH

Historia dzieje się na naszych oczach, choć często poza naszą świadomością. Wiele istotnych wydarzeń umyka naszej uwadze, ledwie radzącej sobie z wyłuskaniem tego, co ważne, w miejscu tego, co najczęściej omawiane. Pakiet serwowany nam przez prasę i media audiowizualne jest już sam w sobie owocem rygorystycznej selekcji – i trudno się temu dziwić. Tak było i będzie zawsze, dopóki informacja będzie publicznie przekazywana. Sam odbiorca wymusza tę selekcję – wystarczy przypomnieć częste utyskiwania na zalew wiadomościami, których część społeczeństw nie ogarnia, a część wręcz nie rozumie. Zasady tego wyboru są wbrew pozorom nader precyzyjne; wydawcy dobrze przecież widzą, co czytelnik chce przeczytać. W publicystyce międzynarodowej do najistotniejszych kryteriów należą region, w którym potencjalnie opisywane zdarzenie ma miejsce i charakter samego zdarzenia. Są takie regiony, dla których można na podstawie mediów odtworzyć niemal dzień po dniu przebieg wypadków, są i takie, o których przeciętny dobrze zorientowany konsument informacji nie wie niemal nic – tzw. zapomniane wojny (takie, o których świat nagle musiał sobie przypomnieć) są najoczywistszym przykładem.

Rzeczywiste dzieje świata najczęściej zająmają się więc tylko, a nie pokrywają, z lustrem serwisów informacyjnych. Nie można wszak generalizować, zwłaszcza, gdy praktyka taka ma wydźwięk negatywny. Najrzetelniejsze media przedstawiają nam tak szeroki wachlarz wartościowych informacji, z jakiego nie mogli nigdy korzystać nasi przodkowie. Wielkoformatowe dzienniki i informacyjne serwisy internetowe są niewyczerpaną kopalnią wiedzy o tym, co przed chwilą zmieniło rzeczywistość. Nie da się wszakże ukryć, że to nie one kreują dominujący w świadomości obraz wydarzeń, nie one decydują o jego hierarchizacji.

W ciągu marca bieżącego roku działy się rzeczy nie mniej ważne niż pod koniec 2004 r. Trzy ważne wydarzenia, istotne w skali nie tylko politycznej, ale także historycznej, chciałbym tu przywołać. One wywołały ten artykuł. W mediach wiodły żywot drugoplanowy, ich protagoniści są zaledwie statystami patrząc z polskiego (europejskiego) punktu widzenia, warto je jednak wyłuskać spośród innych, choćby dlatego, że poza swoim długoterminowym znaczeniem i symbolicznym wydźwiękiem pokazują wielobiegunowy rozwój dziejów.

1. W niemal dokładnie trzydzieści lat od wybuchu wojny domowej w Libanie Syria zaczęła proces wycofywania swoich wojsk z terytorium mniejszego sąsiada i *de facto* protektoratu. Stało się tak po części tylko z powodu nacisków społeczności międzynarodowej (czytaj: wielkich mocarstw). Śmierć Rafika al-Haririego, jednego z najbardziej prominentnych polityków libańskich ostatnich dekad oraz, po części w konsekwencji, wzrost nastrojów antysyryjskich wśród samych Libańczyków to przyczyny równie istotne. Czy tym samym rząd Baszara al-Asada zrezygnował z prowadzenia polityki, którą poprzedni przywódcy syryjscy prowadzili odkąd ich ojczyzna stała się państwem niezawisłym? Że odstąpił od polityki, zresztą skomplikowanej i warunkowanej sprzecznymi nieraz przesłankami, którą jego własny ojciec prowadził przez trzy dekady? Szczerze wątpię, sam fakt wart jest jednak uwypuklenia.

2. W Czeczenii 8 marca zginął Asłan Maschadow, jej ostatni legalnie wybrany prezydent z okresu krótkiej i ułomnej, ale z punktu widzenia prawa międzynarodowego możliwej do uzasadnienia, niepodległości. Nie zginął w otwartej walce, podobnie zresztą, jak i jego poprzednicy - Dżohar Dudajew i Selimchan Jandarbijew. Wszyscy zostali wyeliminowani, ale w wypadku Maschadowa po raz pierwszy można było na taką skalę legitymizować likwidację walką z terroryzmem. A konsekwencje? Jedna, zasadnicza – nie ma szans na niepodległą Czeczenię w ciągu kilku najbliższych dekad. Częściowo pogrzebali je sami Czeczeni, ale zabójstwo Maschadowa przypieczętowało i dopełniło proces. A za kilka dekad może już nie będzie Czeczenii w znaczeniu innym niż geograficzne. Niestety.

3. W kilka dni rozsypała się władza Askara Akajewa w malowniczym (i tajemniczym) Kirgistanie. Pisze się o tym nawet sporo, a to dlatego, że rewolta dobrze wpisuje się publicystom w sezon demokratycznych buntów na Wschodzie (Gruzja – Ukraina – Kirgistan). Drugim nurtem rozważań jest gra mocarstw wokół Tien-szanu (Chiny – Rosja – Zachód). Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że czynnik najważniejszy, endogenny i endemiczny, pozostaje w cieniu. A to przecież fascynujące, dlaczego z pięciu autorytarnych wodzów Azji Środkowej to właśnie Akajew musiał jako pierwszy uciec zagranicę. Gdy obejmował władzę, uchodził za najbardziej demokratycznego z całej grupy. Nie represjonował potem opozycji na taką skalę jak inni, nie budował sobie złotych pomników zwracających się ku słońcu, nie kazał obsypywać tytułami, nie przenosił stolicy niebotycznie drogim kosztem. Mogłoby się również wydawać, że Kirgistan, pozostający poza strategicznym centrum regionu (o ile chwilowo pominie się problem ujęski), nie rozpalany takimi wewnętrznymi sprzecznościami jak np. Tadżykistan, będzie najmniej skłonny do gwałtownej egzekucji praw demokratycznych. A jednak stało się odwrotnie. Czy dowodzi to wysuwanej niekiedy prawa, że umiarkowany reżim to słaby reżim? Czy będzie to początek głębokich przemian? Niekoniecznie – nawet komentatorzy, początkowo zagalopowawszy się, teraz tonują swoje opinie. Ale nawet jeśli z chaosu, który panuje teraz w Biszkeku wyłoni się rzeczywistość zgoła niespodziewana, wydarzenia marcowe należy zapamiętać – i to nie w kontekście gry mocarstw czy ogólnego zbiegu rozmaitych okoliczności w państwach postsowieckich, ale z perspektywy tej najmniej rozpoznanej, wewnątrzazjatyckiej, dowodzącej coraz bardziej specyficznego rozwoju państw turecko-mongolskich narodów regionu.

Andrzej Kompa
andrzejkompa@o2.pl

napisany 28 III 2005 r.

POROZMAWIAJMY PO ŁÓ(LU)DZKU

Jak się niedawno dowiedziałam okręg łódzki może uchodzić za reprezentatywny jeśli chodzi o kanon języka polskiego, jakim posługują się jego mieszkańcy. Wyróżnia się na tle pozostałych regionów poprawnością i małym stopniem niezrozumiałości przez mieszkańców innych terenów Polski. Uchodzi za wzór języka literackiego. Wynika to oczywiście z tego, że Łódź leży po środku wpływów gwarowych, zatem język okolic czerpie z wielu gwar po trochu i tworzy ich pewnego rodzaju syntezę. To dobra wiadomość, gdyż zawsze bardzo miło jest być wzorem. Jednak wszyscy dobrze wiemy (a może nie zdajemy sobie sprawy), że istnieją takie słowa, które są charakterystyczne tylko dla środowiska łódzkiego i które przysparzają trudności przyjezdnym. Kilka z nich związanych jest z gastronomią, inne zaś z tramwajami. A to dlatego, że Łódź bardzo wcześnie (wcześniej niż Warszawa nawet) zapoznała się z tym osiągnięciem techniki. Wymagało to stworzenia odpowiedniego obsługującego tę nową dziedzinę słownictwa. I tak powstały nieznanne gdzie indziej: *krańcówka* (oznaczenie pętli tramwajowej, bardzo zresztą logiczne) czy *migawka* (czyli dla reszty Polaków bilet okresowy lub miesięczny, u nas się nim miga kontrolerowi po prostu, gdyż nikt nie ma czasu na zbędne przedłużanie procedury sprawdzania biletu, jesteśmy wszakże zapracowanymi ludźmi sukcesu i dlatego jeździmy tramwajami).

Innym naszym słowem jest *angielka* na oznaczenie butki wrocławskiej. Czym jest butka wrocławska? Nic nam to nie mówi...Albo po co przedłużać prosząc o papierową torebkę skoro można poprosić o *tytkę* – tak, zgadzam się, słowo nie poraża nas wzniosłymi wrażeniami estetycznymi, ale zawsze oszczędza czas. Poniżej słownik łódzko-polski, opracowany przez czytelników *Gazety Łódzkiej*:

PRAWDZIWE ŁODZIANIZMY:

1. angielka - bułka paryska
2. betka, betki - małe grzyby (od bedłki)
3. brzuszek - surowy boczek
4. czarne - rodzaj kiełbasy
5. cztujda - gęsta zupa
6. drach – latawiec
7. drygle - zimne nóżki
8. dudy - płucka i pochodne
9. klapitka - rodzaj kamienicy od nazwiska Klapita, właściciela
10. krańcówka - pętla tramwajowa
11. lebera - wątrobianka
12. leberka - pasztetowa
13. migawka - bilet miesięczny MPK
14. siajowy - bardzo zły jakości od nazwiska producenta tkanin Siai
15. towar - w znaczeniu "tkanina"

c.d.n.

Lidia Jurek
(lidzia_hawke@wp.pl)

GENEALOGICZNIE... (3)

Jeśli zebraliśmy potrzebne minimum informacji genealogicznych o naszych przodkach i mamy – dzięki naszym krewnym bądź informacjom zaczerpniętym z Urzędów Stanu Cywilnego – genealogiczne dane, pochodzące z przełomu XIX i XX w., wówczas możemy udać się do archiwum, które odąd będzie głównym, acz nie jedynym, miejscem naszych poszukiwań. Przesiedzimy w nim niejedną godzinę, poznając przy okazji innych poszukiwaczy, czasem kilkanaście lat przekopujących się w wolnych chwilach przez księgi i mikrofilmy, wciąż przy tym nie tracących entuzjazmu. Szkoda wprowadzić, że łódzkie środowisko genealogów-amatorów nie jest z żaden sposób zorganizowane, bo wymiana informacji jest zawsze korzystna, zwłaszcza, że podstawą są najczęściej te same, a co najmniej podobne, zespoły archiwalne. Pewnym substytutem takiego forum są genealogiczne portale internetowe (o których kiedy indziej).

Czym jest sieć, jednostka i zespół archiwalny, jak dzielimy archiwa i archiwalia w nich przechowywane, jakie zasady tym przechowywaniem rządzą – cała ta ważna teoretyczna wiedza jest przedmiotem dociekań na

zajęciach z nauk pomocniczych historii; nie ma więc potrzeby, by raz jeszcze poruszać temat. Nas interesować będą tutaj tylko te aspekty problematyki archiwistycznej, które bezpośrednio wiążą się z wyszukiwaniem własnych korzeni.

W jakich zespołach ukryte są interesujące nas informacje? Dla XIX w. są to przede wszystkim akta stanu cywilnego, prawdziwa kopalnia danych genealogicznych. Siłą rzeczy mają one różną postać na ziemiach dawnych trzech zaborów. Zaprorowadzone w Księstwie Warszawskim w efekcie wprowadzenia Kodeksu Cywilnego Napoleona, przez następne sto lat z okładem funkcjonowały w niemal niezmienionej postaci. Były to akta opisowe – ten model, bodaj najwygodniejszy i najczytelniejszy, dotyczy całego naszego regionu. Odnajdując jeden dokument trafiamy od razu na ślad innych, mnogość informacji umożliwia bowiem chronologiczne posuwanie się wstecz. I tak, w akcie chrztu poza imieniem (imionami) i dokładną do godziny datą urodzenia dziecka znajdują się personalia rodziców i ich wiek, dane rodziców chrzestnych (nie ma tu, co prawda, jak niekiedy w zaborze austriackim, nazwiska akuszerki – poza przypadkami, gdy to ona zanosila dziecko do chrztu). Akt małżeństwa zawiera dokładne informacje o obojgu nowożeńcach – wymienia ich rodziców, miejscowość, w której przyszli na świat (co ważne, przyporządkowuje ją właściwej parafii), wiek, informacje o ewentualnie sporządzonej intercyzie (ponieważ akta notarialne z XIX w. często nie uległy zniszczeniu, można niekiedy taką umowę przedślubną odnaleźć, co mogą potwierdzić na podstawie własnej udanej próby). Wreszcie akt zgonu, choć najtrudniejszy do odnalezienia (bo data zejścia nie znajduje się w innych dokumentach, wyjąwszy akt zawarcia kolejnego małżeństwa przez wdowca/wdowę, który przecież też nie zawsze można szybko odkryć), również dostarcza informacji koniecznych do dalszych badań – często podaje wiek zmarłego (trzeba jednak podchodzić do niego z pewną ostrożnością), miejsce jego urodzenia, wzmiankuje rodziców. Jeśli nasi przodkowie byli piśmienni, akt stanu cywilnego może być opatrzony ich podpisami – jest to wówczas pamiątka wyjątkowa i warto postarać się o kserokopię, choć w archiwach jedna strona A4 kosztuje obecnie mniej więcej 20-25 zł. W innych wypadkach najlepiej spisać całość dokumentu.

Akta stanu cywilnego prowadzone były (z wyjątkiem okresu do 1825 r.) wyłącznie przez proboszczów, w ramach parafii. Warto więc zorientować się, w których miejscowościach się one mieściły – dobrą pomocą jest studium Stanisława Litaka *Struktura terytorialna Kościoła łacińskiego w Polsce w 1772 r.* (Lublin 1980), tym bardziej, że przez XIX wiek podział administracyjny Kościoła w regionie nie uległ większym zmianom – nowych probostw powstało niewiele. Oczywiście dla innowierców (znów wyjąwszy początkowy okres) prowadzone były osobne księgi, bądź w ramach parafii, bądź gmin wyznaniowych. Istotnym uzupełnieniem, choć momentami mniej przejrzystym i konsekwentnym są zachowane dla wielu miejscowości regionu, w tym dla Łodzi tzw. księgi ludności stałej i niestałej.

W zaborze austriackim i pruskim akta stanu cywilnego także były prowadzone – w imperium Habsburgów przez proboszczów (miały specyficzny państwowo-kościelny charakter, rejestrując np. i urodzenie i chrzest; w związku z tym łączyły cechy ASC i metryk kościelnych), natomiast w Prusach – bądź w formie cywilnej, bądź wyznaniowej (tu jednak tylko obywatele pruscy). Dopiero w 1876 r.

zaprowadzono w zjednoczonych Niemczech całkowicie cywilną, ujednoliconą rejestrację akt stanu cywilnego. Cechą charakterystyczną wszystkich tych dokumentów jest ich tabelaryczność (w przeciwieństwie do opisowej struktury, obowiązującej w Królestwie Polskim, w rodzaju: *Działo się w mieście Brzezinach dnia Stawił się N. N., rolnik zamieszkały w Brzezinach, lat ... (...) i okazał nam dziecko płci męskiej* itd.). Trzeba przyznać, że często są przez to, co może się wydawać paradoksem, znacznie mniej czytelne.

Wykorzystując akta stanu cywilnego z XIX w. można cofnąć się aż do 10 pokoleń wstecz. Dla okresu wcześniejszego podstawowym źródłem informacji stają się metryki kościelne, wprowadzone w Polsce jako jeden z elementów reformy potrydenckiej. Zawierają one jednak znacznie mniej informacji, które też trudniej powiązać, zwłaszcza, że wiele ksiąg poprzez wieki uległo zatracie. Niemniej te, które pozostały, są nader cennym i wartym przeszukania źródłem.

Akta i metryki to oczywiście tylko zasadnicze miejsca naszych poszukiwań. Zależnie od grupy społecznej, z jakiej nasi przodkowie wywodzili się oraz od miejsca, z którego pochodzili, mamy do wyboru całą gamę innych materiałów rozmaitego charakteru, w których można znaleźć istotne informacje. Wbrew pozorom nie zawsze jest tak, że dla szlachty pozostało ich najwięcej.

Gdzie szukać akt i metryk? Na terenie dawnej Kongresówki większość ASC z XIX w., a i niektóre wcześniejsze metryki (jedne i drugie zasadniczo w formie mikrofilmów) dostępne są w archiwach państwowych, w łódzkim np. od Łęczycy po Radomsko i Wieluń, od Sieradza po Rawę Mazowiecką. Placówek tego rodzaju (archiwów i ich filii) jest w Polsce 89; nieocenioną pomocą w odszukaniu, w którym z nich przechowywane są akta z konkretnej miejscowości, jest informator *Księgi metrykalne i stanu cywilnego w archiwach państwowych w Polsce*, opracowany przez Annę Laszuk (Warszawa 2000) oraz przewodniki po zasobach konkretnych archiwów, stopniowo udostępniane przez internet. Tam także szukać trzeba ksiąg ludności stałej, akt sądowych, notarialnych itp. Wszelkie natomiast dokumenty kościelnej proweniencji dostępne są bądź w coraz lepiej i profesjonalniej funkcjonujących archiwach diecezjalnych, bądź – niestety – w parafiach.

O tym, na jakie trudności można natrafić eksplorując opisane archiwalia – w następnym odcinku.

Wszystkich zainteresowanych genealogicznym spojrzeniem na własną rodzinną historię, zapraszam do korespondencji: **andrzejkompa@o2.pl**; spróbuję odpowiedzieć na każde pytanie.

Andrzej Kompa

Zmagania z dziekanatem

Każdy z nas, studentów historii UŁ, miał przeróżne perypetie i przygody w miejscu równie groźnym dla zdrowia naszych nerwów, jak Kołyma dla zeków – Dziekanatem. Jak do tej pory ja osobiście marudziłem na pracę tego przybytku, ale raczej tak z wrodzonej złośliwości. Ot, po prostu musiałem odstać swoje w kolejce i tyle. No, ale ostatnio, to już się mi prawie para uszami poszła, bo przez Dziekanat właśnie zostałem w tym miesiącu bez grosza ! Sprawa przedstawia się tak. Jako student V roku, mając niewiele przedmiotów do zaliczenia, bardzo szybko wszystkie wpisy prawem wymagane zebrałem i zdałem indeks w wiadomym miejscu. Jeszcze przed świętami go odebrałem (był on bowiem niezbędny do wzięcia wpisu z dydaktyki – katowanie nią V roku: w marcu – praktyki, a w kwietniu – egzamin, to również swoisty absurd na naszym wydziale, skoro na innych wydziałach UŁ specjalizację pedagogiczną można zakończyć na wcześniejszych latach studiów – a której zaliczenie, jako nieobowiązkowej, nie jest brane pod uwagę przy wypłacie stypendiów) i spokojnie czekałem na pieniądze, które miały wpłynąć, jak zwykle, do 25 dnia każdego miesiąca. Niestety, pomimo dopełnienia wszystkich warunków z mojej strony – nie wpłynęły! Udałem się więc do Działu Spraw Bytowych Studentów UŁ, by sprawę wyjaśnić i tam mi powiedzieli, że nie zaliczyłem semestru. Tym razem już nie tylko się zdziwiłem, ale i trochę przestraszyłem. Poszedłem więc do dziekanatu, dałem jeszcze raz do zweryfikowania mój indeks, zapytałem, czego nie zaliczyłem. Zostałem poinformowany, że wszystko jest w porządku, więc mówię, że nie dostałem stypendium, bo według DSBS UŁ nie zaliczyłem semestru. Pani w dziekanacie sprawdziła moje dane w systemie i co się okazało??? Wszystko jest w porządku, tylko po prostu oni zapomnieli wysłać informację do Działu, więc ten nie zapłacił. Zapomnieli, a ja muszę pożyczać pieniądze, aby jakoś dotrzeć do 25 IV, bowiem DSBS UŁ powiedział, że choć sprawa jest wyjaśniona, to brakująca kwota wpłynie dopiero wtedy. Gdybym ja spóźnił się z własnej winy, ot tak, przez roztargnienie, o miesiąc z płatnością za akademik, musiałbym zapłacić karne odsetki. Niestety, poinformowano mnie, że w drugą stronę ta zasada nie działa. Odsetki ustawowe za zaległości w wypłacie wynagrodzeń pracownikom w tej chwili wynoszą 12,25% w skali miesiąca, jak sprawdziłem z ciekawości w Internecie (www.poradaprawna.pl). Moje stypendium to 400 zł miesięcznie; tak więc zgodnie z poczuciem sprawiedliwości (w naszym prawie niestety nie zawsze jest ono uwzględnione) powinienem otrzymać dodatkowo 49 zł. Kwota w sam raz na to, by zatopić w niej smutki i narzekanie na niesprawiedliwość na tym pięknym Bożym świecie.

Piotr Bieliński (Kobylorz@wp.pl)

Kilka ważniejszych wydarzeń z historii Łodzi i okolic :)

Wydarzenia mityczne :

- bogowie zasiedlili Olimp
- została wybudowana Wieża Babel
- wojna Greków i Trojan o Helenówkę

Wydarzenia historyczne:

- 331 r. p.n.e - Aleksander Macedoński założył Aleksandrów
- 49 r.p.n.e. - Ceran przekroczył Rubikon
- II w. n. e. - pierwsze odnotowane miasto na ziemiach polskich - (Łódź) **Calisca**
- 968 r. - ustanowienie biskupstwa (w pałacu) Poznańskiego
- 972 r. - Mieszko I zwyciężył w Bitwie pod „Cytryną”
- 1453 r. - zdobycie Konstantynowa przez Turków
- 1626 r. - Manhattan został kupiony od Indian
- 1683 r. - Jan III Sobieski zwyciężył wojska tureckie pod Widzewem

Aka Włodarczyk (aka7@op.pl)

Zespół redakcyjny: Zbigniew Głąb, Lidia Jurek, Bruno Kamiński, Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak

Współpraca: Piotr Bieliński, Katarzyna Włodarczyk

sknh_lodz@o2.pl ; <http://www.sknh.uni.lodz.pl>

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu
Historii Uniwersytetu Łódzkiego**

Zmagania z pracą magisterską *(albo: Szadek w moim życiu)*

Zaciekał mnie i zainspirował tekst Piotra Bielińskiego (KIH-a nr 3). Tyle, że ja nie o pisaniu własnej pracy magisterskiej pisać chcę. Własna, chwalić bogów, dawno napisana i nawet obroniona, a choć zbieranie materiałów dostarczyło wielu fascynujących przeżyć - z pogryzieniem przez psa włącznie, nie będę o niej pisać, szczególnie, że z historią (mając wzgląd na to, kim są w większości czytelnicy KIH-y, nie powtórzę - chwalić bogów :)) niewiele wspólnego miała. Nie, tutaj pragnę opisać, jaki wpływ na życie moje ma pisanie pracy magisterskiej przez osobę mi bliską. Nie będę wymieniać z nazwiska, podam tylko bardzo ogólnie, że chodzi o studenta historii, który pisze pracę na temat kartografii dziewiętnastowiecznej na przykładzie pewnego niewielkiego miasta w Ziemi Sieradzko-Łęczyckiej.

To, że znam już funkcje rynków tudzież ratuszy, że poznałam sporo fascynujących informacji na temat skal, że nawet odkryłam własny sposób mierzenia powierzchni miasta, że umiem przeliczać łany na hektary, a te z kolei na wężyska i tak we wszystkie strony - to wszystko są fakty niegodne większej uwagi. W końcu zawsze pożytecznie jest zdobywać nową wiedzę, szczególnie, jeśli jest to konieczne, by móc zrozumieć jakieś 90 procent wypowiedzi bądź co bądź ukochanej osoby...

To, że w domu ma prawo pojawiać się tylko i wyłącznie mąka szadkowska i żadna inna, to też w końcu nic takiego...

Ale proszę sobie wyobrazić: zaczęła się wiosna, wiadomo - ptaki, pąki, słońce etc.. więc zostałam zabrana na romantyczną przejażdżkę. Zakładam, że wszyscy domyślili się już dokąd, dodam więc tylko, że podczas owej, z trzema różnymi planami na kolanach, zajmowałam się m.in. poszukiwaniem rzeki (która okazała się raczej rowem), stawu (dawno wyschnięty i zarośnięty), porównywaniem wielkości cmentarzy katolickiego i ewangelickiego, czytaniem tablic nagrobnych, sprawdzaniem, czy na ulicy Stodolnianej są jakiegokolwiek stodoły i czy może któraś nie wygląda na dziewiętnastowieczną, sprawdzaniem, czy trójkąt na mapie to aby na pewno trójkąt w rzeczywistości i tym podobnymi atrakcjami.

A na stole wielkanocnym miałam m.in. pisanek z wymalowanym planem rynku szadkowskiego...

Aka Włodarczyk (aka7@op.pl)

Kącik humoru

Konkurs !!! Zgadnij kto to:

Raz studentka z miasta Ozorkowa,
by móc stare papiery studiować
zamieszkała w klasztorze
i dowodzi jak może:
„Kolegiata ma pale olszowe!”

Pewien student, choć nie geografii
mówić ciągle o mapach potrafił.
„Bo jedni lubią kino,
inni tańce z dziewczyną,
a ja - mówił - wolę kartografię!”

Pewien student z ul. Kamińskiego
fascynatem był wojska rzymskiego.
Tak się nim fascynował,
że falangę stosował
wszędzie - nawet w Akwarium z kolegą.

Pewien młody historyk z Retkinii
pilnie badał przyrodę Kołomy.
Dręczyło go pytanie:
Czy przetrzymać są w stanie
żabki koszmara syberyjskiej zimy?

Aka Włodarczyk (aka7@op.pl)